

# Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

22

Przerobił J. R.

Dokończenie

Paweł na palcach zbliżył się ku nim i korzystając z nieuwagi, skrył się w gąszczu tuż obok nich, tak, że słyszał każde ich słowo.

— Prosiłem cię, matko — mówił Robert z gniewem — żebyś tu nie przychodziła do mnie. Nie wystarczy ci to, że dostajesz regularnie pieniądze co tydzień? Sama nie wiesz może, na co mnie narażasz.

— No, nie gniewaj się, chciałam cię jeszcze zobaczyć i dlatego ci napisałam, że przyjdę. A przecież umyślnie na spotkanie wybrałam to miejsce, gdzie nas o tej porze nikt nie zobaczy i nie podsłucha. Nie zapominaj że jestem twoją matką i że los twój mnie żywo obchodzi.

— Ale skądże się dowiedziałas o tem, że jestem teraz w Schleinitz? Skąd wiesz, że ja teraz jestem hrabią Pardua?

— Huhle mi to powiedział.

— Huhle?

— Ten Huhle, którego znać musisz, bo nieraz robił interesy z twym ojcem.

— A skądże on mógł o tem wiedzieć?

— Hoho! On zna wszystko, całą twoją historię. Wie, że zamordowałeś hrabiego Pardua, że zabrałeś mu papiery i teraz sam jesteś hrabią.

— Psst! Ani słowa więcej! Matko, Huhle musi zginąć! Ten nędznik za byle pieniądze gotów mnie zdradzić, gotów o tem powiedzieć Steinowi, a wtedy czeka mnie ten sam los, jaki osiągnął mego ojca!

— Stary Wilding umiał się wywinać, a jednak ten pies go złapał. Ale ty się pomściłeś za ojca, bo tego psa sam wodzisz za nos.

— Huhle musi zginąć, powtarzam — ozwał się znowu Robert. — Nie może żyć człowiek, który zna moją tajemnicę. Czy wiesz, gdzie on się teraz podziewa?

— Leży u mnie, chory. Pogruchotano mu kiedyś kości, gdy chciał okraść bank. Ale się wyknął, a ja go ukryłam tak, że nawet ten szpicel Stein go nie dostanie.

— Więc leży u ciebie w domu?

— Tak jest.

— On musi zginąć!

— Ano, jak sądzisz, że musi, to dobrze. Ale jak go usunąć ze świata?

— Masz tu tę flaszeczkę. Jest w niej trucizna, zabijająca człowieka w ciągu kilku sekund. Nalej mu jej do wody, a będzie gotów. Potem wrzuc go do kanału. Jak się spiszesz, dostaniesz tysiąc marek.

— Jutro już Huhle żyć nie będzie — odparła stara. — Ale jeszcze jedno. Czy nie mógłbys mi dać co pieniędzy teraz?

— Nie mam nic. Przygotuję je, jak się dowiem, że Huhle nie żyje.

— No, dobrze. Uściśnij mnie jeszcze, synu. Przecież nie brzydzisz się twojej matki, która dla ciebie wszystko zrobi!

Robert uściśnął starą, ucałował ją w twarz i rzekł chłodno:

— A teraz uciekajcie stąd, matko, jak najprędzej i uważajcie, by was kto nie spostrzegł. Nikt nie śmie wiedzieć, że jestem twym synem, że nazywam się Wilding. Jestem i pozostanę hrabią Pardua!

— A cóż z tą turkaweczką, którą za żonę pojąłeś?

— To już mniejsza rzecz. Za kilka dni o tem pomówimy.

— Niechże będzie.

I stara uściśnęła Roberta, poczem szybko, o ile jej na to wiek podeszły pozwalał, znikła w gąszczu drzew, wreszcie chyłkiem dostała się na drogę i jak wiatrem pędzona pobiegła, ku stacyi kolejowej, bo właśnie za kilka kwadransów miał odejść pociąg do miasta.

Robert zamysłony zawrócił powoli przez park ku zamkowi.

Lokaj, który całą ich rozmowę słyszał najdokładniej słowo w słowo, aż ręce zatarł z radości. Udało mu się znakomicie z własnych ust Roberta usłyszeć wyznanie, iż nie jest on nikim innym, jeno Robertem Wildingem, synem starej wiedzmy ze straszego młyna, który, zabiwszy, jak sądził, hrabiego Pardua, przywłaszczył sobie wszystkie jego papiery i tytuły.

Miał powód do uciechy, bo udało mu się zgłębić tajemnicę Roberta, poruczonego przez Steina

jego opiece. Bo też lokajem tym był nikt inny, jeno Paulsen, tajny detektyw policyi, przyjaciel Steina.

Chodziło teraz o zdecydowanie się, co zrobić. Wiedział już tyle, iż wystarczyło to, aby Roberta wtrącić do więzienia. Zaczął więc rozważać, czy ma zdać o tem dokładny raport Steinowi, czy też sam udać się do niego i od razu zarządzić aresztowanie Roberta.

Po chwili namysłu przyszedł do przekonania, że więcej chyba dowiedzieć się nie zdoła, bo Robert był zawsze nadzwyczaj ostrożny. Postanowił więc nie zwlekać i od razu puścił się w drogę ku stacyi.

Doszedł właśnie w samą porę, bo zdążył jeszcze razem z Wildingową wsiąść do pociągu. Za kilka godzin był już w mieście.

Wysiadł znowu razem z Wildingową. Ale nie opuścił jej już ani na chwilę, kiedy bowiem znaleźli się na ulicy, szedł za nią i zdawał się o czemś myśleć na seryo. Wreszcie, ujrawszy policyanta, powziął stanowczy zamiar, zbliżył się do niego i pokazawszy mu swoją legitymację, kazał mu aresztować Wildingową.

Stara jedza opierała się jak mogła, ale policyant zawezwał świstawką towarzysza z przyległej ulicy i obydwa bez trudu doprowadzili ją do dyrekcji policyi, dokąd Paulsen już przedtem doszedł. Po krótkim przesłuchaniu odesłano Wildingową wprost do więzienia karnego, gdzie miała pozostać przez czas śledztwa, aż do rozprawy sądowej.

Paulsen po wyjściu z dyrekcji policyi skierował swe kroki ku mieszkaniu komisarza Steina. Ponieważ jednak było jeszcze za wcześnie, bo dopiero piąta rano na zegarach kościelnych wybiła, wszedł do parku, obok którego prowadziła droga. Jakże się jednak zdziwił, kiedy w bocznej alei zobaczył komisarza Steina, żywo rozmawiającego z jakimś wysokim, pięknym mężczyzną. Zbliżył się ku nim i omal nie krzyknął ze zdziwienia — mężczyzna ten podobny był zupełnie do Roberta Wildinga. Tak go to uderzyło, że nawet z początku nie miał odwagi podejść ku nim. Zaczął więc chrząkać znacząco, pewny, że dosłyszeli go czujne ucho Steina.

Tak się też stało. Stein ogłębł się, a widząc przed sobą Paulsen, podbiegł ku niemu, uściśnął mu rękę i rzekł:

— Cóż się stało? Może już masz w ręku dowody?

— Tak jest. To, com dzisiaj słyszał, wystarczy, aby Wildinga zaprowadzić na szubienicę.

— Jakto?

— Podśledzałem przed kilku godzinami rozmowę rzekomego hrabiego z jego własną matką.

— Winszuję ci szczerze.

— Otóż wiem z ust obojga, że rzekomy hrabia Pardua nazywa się w rzeczywistości Robert Wilding i jest synem tej starej jędzy ze straszego młyna.

— Tak, jak przypuszczałem.

— Starą kazałem aresztować, bo przyjechałem do miasta razem z nią.

— Bardzo dobrze.

— Ale teraz musimy się spieszyć, bo Wilding gotów nam znowu czmychnąć z przed nosa. Mam zresztą setki dowodów, słyszanych na własne uszy, tak, że co do niego nie mam już najmniejszych wątpliwości. Trzeba ich zamknąć oboje, Wildinga i Ilonę Barrison.

— Więc ta rudowłosa dama to Ilona Barrison?

— Tak jest. Widziałem i mam w ręku papier, przez nią podpisany tem nazwiskiem. A zresztą znam człowieka, który ją widywał setki razy w „Moulin rouge“ w Paryżu i zna ją doskonale. Jest to stangret Marceli, który chwilowo widocznie wziął urlop, bo go niema w zamku.

— Mogę ci tylko szczerze powinszować — rzekł Stein — wywiązałeś się świetnie z zadania. Za trzy dni będziemy ich mieli pod kluczem.

— Dłaczego tak późno?

— Dopóki hrabia Pardua nie nabierze sił, bo dopiero powrócił cudem prawie do zdrowia.

I zwracając się do hrabiego, który stał w pewnej od nich odległości i ze zdumieniem patrzył na rozradowane oblicza agentów, zawołał:

— Panie hrabio, wszystko skończone, szczęśliwie!

— Na seryo?

— Pan Paulsen, mój kolega — mówił dalej, przedstawiając agenta — szpiegował Wildinga jako jego lokaj przez kilka tygodni i zebrał tyle dowodów jego winy, że możemy ptaszka zamknąć od razu.

— Dziękuję panu — rzekł hrabia. — Ale musimy się spieszyć, bo Bóg wie, co ten szatan zrobić może przez ten czas z Erną.

— Zarządzimy wszystko, co będzie potrzeba, a jutro wieczór udamy się do zamku Schleinitz, aby fałszywego hrabiego aresztować — rzekł Stein.

— Więc pan hrabia przyszedł już zupełnie do zdrowia? — spytał Paulsen.

— Dzięki opiece pana Steina, który mnie od dał w ręce najlepszych lekarzy, odzyskałem nawet straconą dawniej pamięć.

— No, więc tembardziej. Lepszych dowodów jego winy nie potrzeba. Pan hrabia będzie klasycznym świadkiem w procesie.

Rozmawiali jeszcze długą chwilę, poczem zawiadomili o wszystkim doktora Stürmera, żywo się tą całą sprawą zajmującego i urządzili na jutro wieczorem udać się w czwórce razem z zandarmami do zamku Schleinitz.

## ROZDZIAŁ XXXVII.

### Z zebraczki milionerką.

Małgorzata Wilding długo leżała pogrążona w myślach, nie wiedząc, co mogło spowodować takie nagłe odejście kapitanowej. Minęła godzina, potem druga, a kapitanowa nie wracała. Biedna Małgorzata, znużona i wycieńczona słabością, zmrzyla oczy i zaczęła się modlić. Nie ruszała nawet wargami, ale serce jej szeptało serdeczną modlitwę, dziękczynną i błagalną modlitwę, na jaką tylko jej biedne, a czyste serce zdobyć się mogło. I w tej modlitwie, która dla duszy jej, cierpieniem pooranej, była balsamem, zasnęła.

Kapitanowa tymczasem, wyczytawszy w gazecie, że Paweł Winkelman, inżynier z Ameryki, poszukuje Małgorzaty Wilding, dla której ma ważne polecenie finansowej natury od jej stryja, pobiegła od razu według wskazanego w gazecie adresu.

Paweł Winkelman mieszkał w hotelu „Pod różą“. Była godzina punkt dziesiąta, kiedy do jego pokoju zapukała kapitanowa.

Inżynier siedział przy stole zamyślony i nie usłyszał nawet pukania. Z zamyślenia zbudził go dopiero trzask klamki. Ogłębł się, zdziwiony widokiem nieznanej sobie kobiety, ale ta od razu w krótkich słowach wyjaśniła mu cel swego przybycia.

Jakby się niebo przed nim otworzyło. Zerwał się i przez dłuższą chwilę nie mógł wcale przyjść do siebie ze wzruszenia. Bo po zakupieniu obrazu Simerenki, przekonany był, iż Małgorzata nie umarła, ale że ją pochowano w letargu, a potem wykradziono na modela do „Bogini śmierci“. Ogłosił więc w dziennikach, że zapłaci sownie temu, kto mu doniesie cokolwiek o Małgorzacie, lub bodaj o jej dziecku. Nie przypuszczał jednakże, żeby tak szybko nadeszła odpowiedź i to tak dla niego pomyslna. Bo bądź co bądź przez odnalezienie Małgorzaty pozbyć się miał ciężaru, jaki nań włożył jej stryj w ostatniej życia godzinie, a nadto cieszył się w duszy nadzieją, że Małgorzata, której obraz przez tyle lat nosił w duszy, nie znając jej jeszcze wcale, odwzajemni mu miłość, jaką ku niej pałał.

— Więc cóż pan robi? — przerwała mu myśli kapitanowa.

— Co zrobić? — odparł pośpiesznie. — Pójdę z panią natychmiast, bo muszę ją zobaczyć, muszę. Jak ja się pani wywdzięczę, droga pani?!

Kiedy weszli do pokoju kapitanowej, Małgorzata spała. Ręce długie, białe, prawie przeźroczyste ręce złożyła na piersiach, jak do modlitwy, że wyglądała niby anioł smutku zemdlony.

— Nie przerywajmy jej — niech śpi — ozwała się kapitanowa, widząc, że Winkelman, poznawszy ją od razu, rzucił się ku łóżku i chciał zacząć całować jej ręce. — Biedactwo tyle się wycierpiało, wycieńczona jest tak dalece, że się w niej ledwie duch poniewiera. Ja nawet sama teraz nie wiem, czy to dobrze że ja pana zawołałam. Takie ogromne, wstrząsające wrażenie, może ją przecie znowu w letarg wprowadzić.

— Nie, nie! — szepnął Winkelman, klęcząc przy łóżku. — Nie będziemy jej budzić. Ja będę czuwał nad nią, choćby nie wiem jak długo, dopóki się nie obudzi.

I patrząc na twarz śpiącej, białą, poprzecinaną jeno sinemi prążkami żył, silny ten mężczyzna rozplakał się, jak dziecko. I łkał, z żalu nad nie-szczęściami, jakie biedna Małgorzata przeżyła, i z radości, że on właśnie ma być tym, który jej szczęście przyniesie i raj na ziemi otworzy. Łkał, bo wzruszenie nie mogło się oprzeć, i nie mógł się oprzeć słodkiej nadziei nazwania kiedyś Małgorzaty swą żoną.